

W 34 rocznicę podpisania Układu o Przyjaźni
Współpracy i Pomocy Wzajemnej

Uroczysty koncert w Warszawie

WARSZAWA (PAP) — W sali Teatru Polskiego w Warszawie odbył się uroczysty koncert z okazji 34 rocznicy podpisania przez Polskę i Związek Radziecki Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej. Odświętnie udekorowaną flagami narodowymi obu krajów salę teatru wypełnili przedstawiciele instytucji, załóg stołecznych zakładów pracy, weterani ruchu robotniczego, młodzież warszawskich szkół i uczelni, reprezentanci organizacji społecznych, wśród nich działacze TPPR.

Przybyli członkowie najwyższych władz partyjnych i państwowych.

Obecne były delegacje zagraniczne, które przybyły do Warszawy na rozpoczęcie w sobotę 21 kwietnia X Krajowy Zjazd Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej.

Wśród gości obecna była również delegacja Północnej Grupy Wojsk Radzieckich w Polsce.

Przybyli ambasadorowie krajów socjalistycznych. Orkiestra odegrała hymny narodowe Polski i Związku Radzieckiego.

W czasie uroczystego koncertu przemówienie wygłosił członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier Mieczysław Jagliński. Podkreślił

ciąg dalszy na str. 2

26 kwietnia br.
—posiedzenie
Sejmu PRL

WARSZAWA (PAP) — Prezydium Sejmu postanowiło zwołać 28 posiedzenie Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 26 kwietnia 1979 r.

Posiedzenie rozpocznie się o godz. 10.00.

Porządek dzienny posiedzenia przewiduje:

• sprawozdanie Komisji Mandatowo-Regulaminowej w sprawie obsadzenia mandatów poselskich w okręgu wyborczym nr 54 w Radomiu;

• informację rządu o programie realizacji uchwały XIV Plenum KC PZPR w sprawie dalszego zwiększenia udziału społecznego przemysłu drobnego w rozwoju społeczno-gospodarczym kraju;

• wniesiony przez Komisję Kultury i Sztuki polski projekt ustawy o terenowych funduszach odnowy zabytków;

• sprawozdanie Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej o rządowym projekcie ustawy o ustanowieniu tytułów honorowych „Zasłużony lekarz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej” i „Zasłużony dla zdrowia narodu”;

• interpelacje i zapytania poselskie;

• zmiany w składzie osobowym komisji sejmowych.

Pachnący
biznes

W Białymstoku sprzedaje się ok. miliona kwiatów ciętych rocznie. W przybliżeniu pięć kwiatków na statystycznego białostoczanina. Nie potrafili odpowiedzieć na pytanie: Dużo to czy mało? Oczywiście, że kwiatów brakuje, gdyby było ich więcej, byłyby tańsze i może ładniejsze, co silną rzecz wzmocniłoby ruch w kwiatowym biznesie.

Z resztą ilość nie jest tu najważniejsza, szczególnie goździków mamy już w granicach zaspokajających popyt. W szklarniach występuje plejada kwiatów — przeróżne gatunki i odmiany, kolory i odcienie, zapachy od rozkosznego aromatu do woni zgniętego mięsa (to storczyki są „ek wyrafinowane”, ale w sklepach króluje goździk. Goździki to kwiat „moralnie” zużyty. Gerbery, róże i żonkile też nie są bardzo wzbogacającą możliwości wyboru ładnej i atrakcyjnej wiązanki.

GDZIE JEST KWIATOWE ELDORADO?

Zie zaopatrzenie białostockich kwiaciarni wynika z prostego powodu. Białostok zagłębiem kwiatowym nie jest i jeszcze długo — mimo wysiłków — nie będzie. Miejscowych producentów mamy 340. Wśród nich 20 uosobień — PGR, SKR, przedsiębiorstwa zieleni miejskiej i szkoły. Hodują oni kwiaty na 26,5 tys. m kwadr. powierzchni szklarniowej. Ich produkcja nie zaspokaja potrzeb Białegostoku.

Tegoroczna zima nie była dla kwiatów łaskawa. Słabo wykształciły się paki, kwiaty były wiotkie i nie narosnięte. Z dużą tolerancją sprzedawano goździki w pierwszej klasie. Początki marca — Dzień Kobiet, okres popularnych imienin — to boom w handlu kwiatami. Cóż więc robi Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodnictwa — Pszczelarska, by zapewnić sobie dostawy kwiatów? Dokonuje kompresji marzy na pierwszą dekadę marca, czyli obniża marżę z 30 do 15 proc. Kontraktuje też całą

produkcję białostockich ogrodników, mając w rękę atut nie do przebicia nawet na czarnym rynku — koks. Cel był jeden — przechwycić kwiaty trafiające dotychczas do kwiaciarni prywatnych. Konkurencyjność cen hurtowych płaconych przez WSOP okazała się skuteczna, „prywatniarze” sprzedawali kwiaty sprowadzane głównie z okolic Warszawy i Poznania.

Nie zamierzam bynajmniej brać w obrocie handlu prywatnego, wszak w biznesie nie ma miejsca na sentymenty i działania konkurentów zawsze stanowią ryzyko. Idzie mi o tłumaczenia się działaczy handlu uosobionego z tej skutecznej akcji marketingowej. Otóż, wyjaśniano mi w Wydziale Handlu UW, że obniżka marży miała zachęcić ogrodników do rozwoju hodowli kwiatów. Po co? Nam tak szczytne hasło w normalnej działalności handlowej? Obniżka marży obowiązywała tylko w pierwszej dekadzie marca, więc nie mogła spełniać celów długofalowych. Po drugie, popieranie produkcji ogrodniczej bez zapewnienia dostaw folii, sadzonek i koks, pozostaje li tylko działaniem biurokratycznym. I to stawiam jak najbardziej — żadne bodźce finansowe nie będą u nas skutecznie działały, dopóki brakuje podstawowych środków produkcji ogrodniczej.

ZAPŁAĆ MYTO

Ta obniżka marży równie jaskrawie oświetliła warunki w jakich działają kwiaciarnie prywatni. Jest ich w Białymstoku

ciąg dalszy na str. 4

Trwa konkurs
„OBLICZA WSPÓŁCZESNOŚCI”

ra, „Perspektywy” i „Przekrój” — pisma o ogólnokrajowym zasięgu.

Dziękujemy za rozpowszechnienie naszej inicjatywy, która — co wynika z lektury napływających pism — wysłała naprzeciw społeczeństwu oczekiwaniom i gotowości udokumentowanego zapisu polskiego dnia powszedniego. Prace te przyniosą nader ciekawy obraz współczesności w jej wymiarze rodzinnym, zakładowym, wspólnotowym, sąsiedzkim, a także interesujące refleksje dotyczące nas wszystkich, czyli ważkich spraw Polaków. Jak dotąd największą pracę napłynęło z Wybrzeża, Dolnego i Górnośląskiego, Białostockiego i Karkuskiego. Liczymy, że w większym niż dotychczas stopniu odpowiedzą na naszą odczuwalną potrzebę mieszkających Suwałszczyzny i Łomżyńskiego. Czasu jest jeszcze ponad półtora miesiąca, bo termin nadsyłania prac upływa 15 czerwca br., ale radzilibyśmy nie czekać do ostatniej chwili. Przypominamy, że wojewodowie: białostocki, łomżyński, suwalski ufundowali specjalne nagrody w wysokości

7 tys. złotych za najlepsze prace i 1 tys. złotych za wyróżnienia. Ponadto na wszystkich autorów zwyciężających czekają regulaminowe, pieniężne nagrody, w tym pierwsza w wysokości 15 tys. złotych. Już wkrótce rozpoczniemy druk fragmentów pierwszych prac na łamach „GW”. Po rozstrzygnięciu konkursu, najlepsze prace ukażą się nakładem „Iskier” w wydawnictwie książkowym. Zachęcamy więc naszych Czytelników do udziału w konkursie i oczekujemy na dalsze zwycięstwa.

TARTACZNE
RODOWODY

Augustowski tartak, oficjalnie Zakład Przemysłu Drzewnego, doczekał sędziwego wieku. Liczy sobie 63 lata i ma za sobą pasmo produkcyjnych osiągnięć i porażek, spisanych w kilku tomach opasłej kroniki. Gdyby jednak ktoś chciał na dwudziestu z górą hektarów hal czy składowisk znaleźć antyczny sprzęt, szynowe, pchane wózki, przyrządy się tradycyjnej — ręcznej obróbce drewna — byłby zawiedziony. Nowoczesność trafiła tu nawet w zakamarki i stare pozostały tylko zawodowe tradycje, przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Romuald Urbicki jest I sekretarzem POP, zna dobrze prawie wszystkich i gwarantuje, że gdyby tak przypatrzyć się dokładnie jednemu tylko drzewu — genealogicznemu okazałoby się, że jest to właśnie polowa z 240 zatrudnionych. Sam naliczył trzynastu swoich krewników, którzy tu pracowali albo nadal pracują. Tych zaś, co mają na sąsiednich stanowiskach bliższą i liczniejszą rodzinę także nimało. — Kosobudzy, Alejsterowie, Fajecy, Zielonkowie... Weźmy ostatnich. Ojciec — Władysław jest mechanikiem i wybitnym racjonalizatorem, córka — Grażyna — magazynierem, druga — Helena Makowska — ślusarzem, jej mąż — Adam — operatorem wózków, syn — Edward — kierownicą. Wszyscy w tej samej firmie. Urbicki zastanawiał się nawet czy to dobrze czy źle, że są tu jak w jednej wielkiej rodzinie, ale chyba łobrze. Jak się z kimś dogadać

nie można służbowo, to przez krewnych pójdzie łatwiej. Na rampie, przy zbieżności tarczy uwiła się Zofia Strękowska. Najważniejsze, że wagony podstawione, bo z tym nie zawsze najlepiej. Jej dwie córki i zięć pracują niedaleko, w tym samym zakładzie — ale rodzinne ścieżki pierwszy wydeptał do tartaku teść — Aleksander. Od 1916 roku wziął się za przecieranie drewna, przetrwał niemieckie i szwedzkie rządy w zakładzie, uczestniczył w powojennej odbudowie i modernizacji i dopiero w połowie lat sześćdziesiątych odszedł na emeryturę.

Strękowska nie dopatruje się jakiegos specjalnego zamiłowania czy sentymentu w rodzinnym zainteresowaniu zawodem. Mieszkają jak większość załogi opodal, na osiedlu. Mają blisko wlec i wygodnie i żadna myśl o zmianie miejsca pracy jakoś nie przychodzi do głowy. Zarobki co prawda niezbyt

konkurencyjne. Wielu, zwłaszcza młodych ucieka, ale stara gwardia zadomowiła się i trwa na stanowiskach. Na jeziorze jeszcze pustko. Dopiero parę dni temu pociągły ostatnie lody. Niebawem ruszą tratwy, montowane niedługo ze stuletnich sosen. Starych drzew coraz mniej, lasy przetrzebione, trzeba się brać za młodsze. Z tego samego powodu przerabiają też świerki.

Z pagórka widać szope z nieczynną jeszcze piłą manipulacyjną, którą tną drewno na wymiarowe bale, sortowane następnie i transportowane w długich basenach, zwanych rekawami. Transportery przenoszące drewno na poziom placów na wzniesieniu, także nieruchome. Niedawno wszystko stało zmarnie, zasypałe śniegiem. Surowiec wozili z lasu samochodami. Te taśmy są jedynym elementem „suchego” transpor-

tu w pierwszej fazie technologii. Wcześniej i dalej, bałe płyną wodą aż pod traki, gdzie stopniowo nabierają kształtów desek. Piętrowa hala traków stoi na wodzie. Rzadkość nawet w Europie, ale jaka wygoda. Bałe trzeba tylko kierować z basenu na transporter. Po przywiezieniu same z powrotem płyną z prądem i znów trzeba je pchnąć na inny transporter, do kolejnej obróbki.

Trakowy siodzi jak na tronie w wygodnym fotelu, posuwającym się wzdłuż po szynach, manipuluje sporym uchwytem, którego szczył zaciskają się na drewnianej kłodzie, obracają ją do właściwego położenia i wsuwają pod pily traka. Nie zawsze idzie to tak gładko, jak teraz. W izbie tradycji oglądamy pociski artyleryjskie, łuski, nawet podkowane metalowe okazy, które przed laty utkwiły w drewnie, przez lata zarosły, znalazły się w centrum pnia i dopiero w tartaku wyjęte zostały spod uszkodzonej pily.

Izba tradycji nosi ślady dawnej i współczesnej historii, toteż Stefan Glowacki — przewodniczący rady zakładowej, prowadzi tu zawsze nowych pracowników. Niechby popatrzyli sobie, jakie też były początki. Ekspozatów, fotokopii wycinków prasowych, zebrali sporo, na ogół z prywatnych archiwów. Odnalazł się bodaj najstarszy artykuł z „Robotnika” — centralnego organu PPS z lat trzydziestych.

„W tartaku państwowym „Lipowiec” w Augustowie, gdzie pracuje około 330 robotników, prace obniżono od r. 1930 o 60 proc. System akordowy przy głodowych stawkach zmuszał dużą część robotników do pracy po 12 do 29 godzin bez przerwy. Ale tym razem robotnicy dość już mieli bierności. Przyspili masowo do związku klasowego i przez wyłonioną delegację wysto-

sowali następujące żądania: 1) zawarcie umowy zbiorowej; 2) przywrócenie płac z r. 1934; 3) przywrócenie „angielskiej soboty”; 4) ścisłe przestrzeganie 8-godzinnego dnia pracy; 5) w robotach akordowych zarobek powinien wynosić 25 proc. więcej niż w dniówkowej zasadniczej itp.

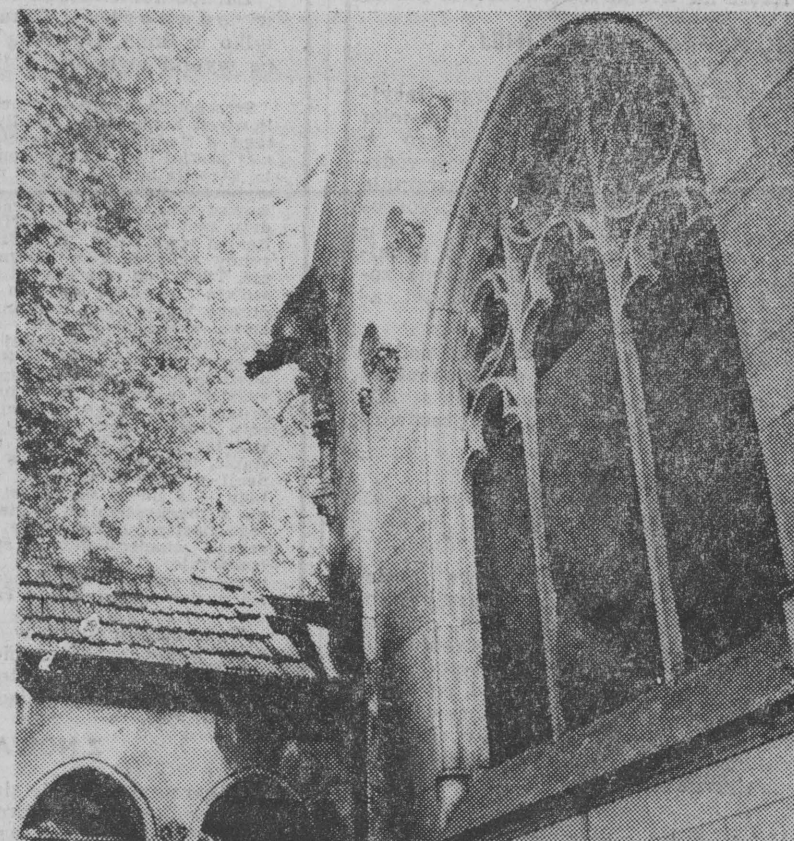
Wobec odmowy dyrekcji przystąpiono do strajku okupacyjnego. A więc informacje o strajkach, z pierwszym w 1926 roku, o początkach pracy partyjnej. Zorganizowany przez KPP strajk okupacyjny w 1936 roku trwał aż sześć tygodni. Nie brakowało wspomnień z lat wojny, gdy część ludzi z tartaku działała w partyzantce, organizując akcje sabotażowe, zrywając szlasy na Kanale Augustowskim, uszkadzając tor kolejowe.

Aleksander Fiećko — dziś osiemdziesięcioletni emeryt, przed wojną i po wojnie związany był z tartakiem. Aż do 1977 roku zajmował pół etatu. Wspomnienia ma jak żywe, ale pamięć go chwilałami zawodzi, toteż Glowacki i Urbicki poprawiają, uzupełniają. Stefan Glowacki ma za sobą 26 lat pracy. Romuald Urbicki więcej. — Był po wojnie, w czterdziestym szóstym — trzecim kierownikiem. Pierwszy, kierujący odbudową — Aleksander Niemiec, drugi — stróż i trzeci on, Urbicki.

Na pustym, przetrzebionym, wypalonym placu uwiłają się ich więcej, bo trzy prywatne firmy prowadziły tu pierwsze roboty, ale załogę tartaku tworzyli ich czterech, bo przybył jeszcze magazynier.

Właściwie nie wiadomo było w co ręce włożyć. Po zakładzie zostały wspomnienia i chwasty. Niemcy wywieźli maszyny, tarcicę, co

ciąg dalszy na str. 3



Po nas
choćby
kamienie
— to tytuł
reportażu
o ochronie
zabytków
— str. 4—5.

W ROCZNICĘ UKŁADU POLSKA-ZSRR Przyjaźń i współpraca zrodzone w walce

21 kwietnia 1945 roku podpisany został — Układ o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy Powojennej ze Związkiem Radzieckim. Był on ukoronowaniem wspólnie prowadzonej walki przeciwko niemieckiemu faszyzmowi. Warto przytoczyć w tym miejscu słowa Edwarda Gierka, wypowiedziane niedawno podczas spotkania z Leonidem Breżniewem w Moskwie: „Przyjaźń naszych narodów rodziła się we wspólnych walkach klasowych, polskich i rosyjskich rewolucjonistów, scementowała ją wspólnie przelana krew na polach bitew z hitlerowskim najeźdźcą”.

Układ polsko-radziecki z 1945 r. gwarantował bezpieczeństwo Polski w jej sprawiedliwych, historycznych granicach, określał też zakres pomocy i braterskiej współpracy w dziedzinie politycznej, wojskowej, gospodarczej i kulturalnej. Polacy z wdzięcznością wspominają dziś radzieckie transporty żywności i lekarstw, surowców, materiałów i urządzeń dla przemysłu, które od pierwszych dni wyzwolenia docierały do Polski. A pamiętać trzeba, że pomoc ta napływała z kraju, który sam w czasie II wojny światowej poniósł ogromne straty i miał wielkie potrzeby.

Dzięki sojuszowi i braterskiej współpracy z Krajem Rad zbudowaliśmy Polskę z ruin i zgłiszcz, stworzyliśmy potężny potencjał przemysłowy i uczyniliśmy ogromny postęp w dziedzinie nauki, techniki i kultury. Warto tu przypomnieć, że z pomocą radzieckich techników i inżynierów ruszyła warszawska elektrownia, potem radiostacja, gazownia, transport miejski. W latach późniejszych specjalistami radzieckimi służyli z pomocą przy wznoszeniu pierwszych budowli socjalizmu — Nowa Huta, Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu, w wyposażeniu stoczni w Gdańsku i Szczecinie.

Dziś weszliśmy już w wyższy etap rozwoju polsko-radzieckich stosunków, czego wyrazem jest nowoczesna Huta „Katowice”.

— Idziemy razem, pomagamy sobie nawzajem — powiedział w czasie obchodów 60-lecia Rewolucji Październikowej Leonid Breżniew — jednocząc wysiłki, wiedzę i siłki dla jak najszybszego posuwania się naprzód.

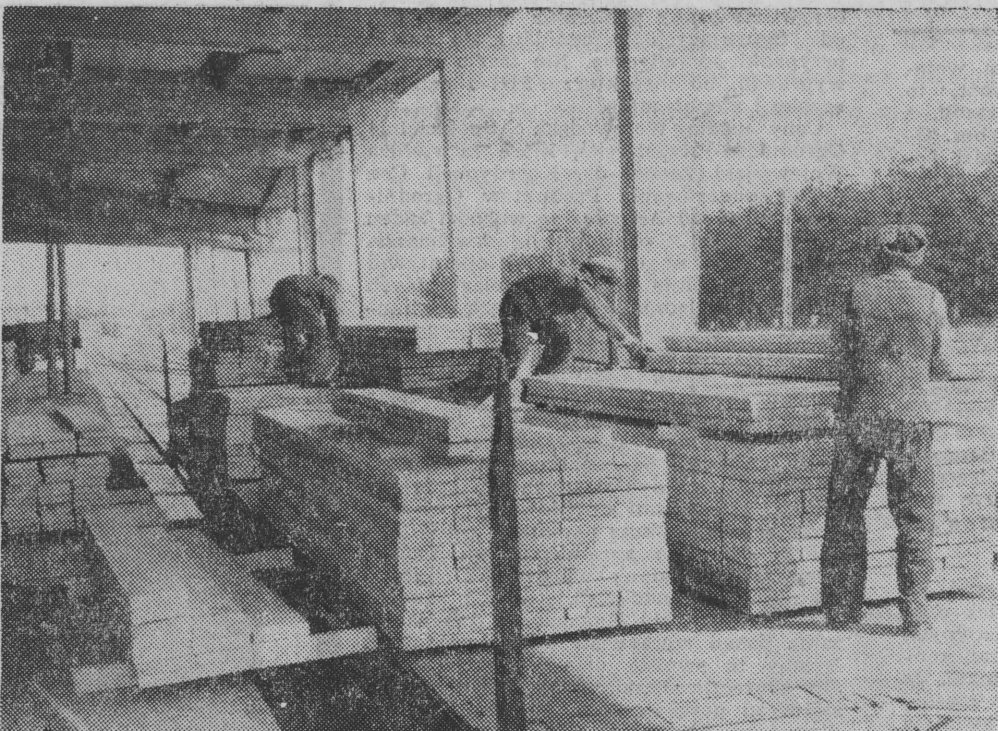
Istotne znaczenie dla gospodarki Polski i ZSRR ma obojgańska współpraca gospodarcza, wzajemne dostawy surowców, urządzeń i towarów. Ropa naftowa ze Związku Radzieckiego, gaz ziemny, rudy żelaza i metali kolorowych są podstawą stabilnego zaopatrzenia naszej gospodarki. Polska ze swojej strony dostarcza Związkowi Radzieckiemu węgiel kamienny, koks metalurgiczny, siarkę, miedź, cynk. Oba kraje specjalizują się w budowie kompletnych obiektów przemysłowych. W Związku Radzieckim w wysokim uznaniem cieszą się polskie cukrownie, fabryki kwasu siarkowego czy zakłady płyt spinnionych. Wspólnym wysiłkiem obu naszych państw i innych krajów RWPG powstają wielkie inwestycje, służące całej wspólnotie socjalistycznej.

Szczególne miejsce ma współdziałanie obu partii, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Dążą one do zacieśnienia przyjacielskich więzi, rozszerzenia wymiany kulturalnej i kontaktów międzykulturowych, do umacniania przyjaźni między narodami Polski i Związku Radzieckiego. Wizyty i sekretarzy KC PZPR Edwarda Gierka w ZSRR i sekretarza generalnego KC KPZR Leonida Breżniewa w Polsce, spotkania premierów obu krajów i czołowych działaczy wnoszą trwałe wartości do tego współdziałania.

Kluczową sprawą dla obu naszych krajów, dla całej wspólnoty socjalistycznej, jest utrwalenie pokoju i pogłębienie odprężenia międzynarodowego. Dlatego z tak żywym oddźwiękiem i poparciem spotykają się u nas radzieckie inicjatywy pokojowe w sprawie zahamowania zbrojeń i podjęcia rzeczywistego rozbrojenia.

Ważną rolę w rozwijaniu i pogłębianiu braterskiej współpracy między obu krajami i narodami odgrywa Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które w kwietniu br. odbywa swój zjazd. Umacnia się współpraca między zaprzyjaźnionymi miastami i okręgami, rozszerzają kontakty między ludźmi. Dobrze służą sprawie przyjaźni dni kultury polskiej w ZSRR i dni kultury narodów radzieckich w Polsce.

Zwrot zapoczątkowany podpisaniem w 1945 roku Układem o sojuszu i przyjaźni, który został odnowiony w 1965 roku na kolejne 20 lat, otwiera dalsze, szerokie perspektywy rozwoju wzajemnej współpracy. (Interpress)



Na rampie trwa załadunek gotowych desek na wagony kolejowe. Pojadą za granicę.
Fot. Zdzisław Zaremba

TARTACZNE RODOWODY

c. d. ze str. 1

się dało, a resztę spalili albo wysadzili w powietrze. Jakże jednak nie postawili na nowo znanego kraju i za granicę zakładu? Dookoła budowy, potrzeba drewna, a oni tu mają te same co przed trzydziestu laty argumenty przemawiające za odbudową: surowiec blisko, tani transport wodny, ta sama woda jako doskonały środek konserwujący, korzystne ukształtowanie terenu, wreszcie doświadczenie powracającej załogi.

W pięć miesięcy postawili kotłownię z lokomotywą Wofa, silownię z generatorem i urządzeniami towarzyszącymi, halę z dwoma trakami. W czterdziestym siódmym, mogli już ruszyć z produkcją. Dali na rynek 3084 metry sześciennie tarcicy. Udał im się ten start.

Pamiętają ówczesny, drugi już w wyzwolonej Polsce pochód pierwszomajowy. Następnie też Janek Bukowski z klubu — wspomina — z harmonią na czele, a dalej rozpiewane kobiety z ich największego wtedy, augustowskiego zakładu. I jeszcze eksponat nieśli, jakiegoś nikt nie miał. Zrobili model drewnianego traka i maszerowali ławą, spontanicznie, wesoło. Widać było i słychać, że Lipowiec nadciąga.

Mieli — a jakże — swoje organizacje. Najpierw kilkunastuosobową organizację PPS na czele z Fiecką. Mówią, że całym widzieli tam był Związek zawodowy, też z Fiecką, który sekretarzował w radzie, wreszcie PPR.

Po Kongresie Zjednoczeniowym znalazło się ich w PZPR chyba z szesnastu. Robota partyjna prowadzona była trochę intuicyjnie, bo nikt doświadczenia nie miał. Podpowiadali im z Komitetu Powiatowego, ale podstawowe kierunki dyktowało samo życie. Jeździł na akcje agitacyjne za spółdzielnią rolną, na skup zboża, do gospodarstw rolnych pomagać w polu. Zaprawieni do tej ciężkiej pracy byli niegorzej. Wielu trafiło tu prosto z wojska. Ruszyli pełną parą. W 1948 roku przetarli już prawie trzy razy więcej drewna niż poprzednio.

Na początku lat pięćdzie-

siatych trzykrotnie zwyciężali w krajowym współzawodnictwie, aż zdobyli na własność unikalny sztandar z wizerunkiem Pstrowskiego. Później dobrą robotą zasłużyli na proporzec i wiele wyróżnień.

Stanisław Szwoch dyktuje od dziesięciu lat. Mówią, że pod dyktando siedzą — dodaje — ale naprawdę mamy się czym pochwalić. Ostatnio, za zeszły rok, zdobyliśmy drugie miejsce w Okręgowym Przedsiębiorstwie Przemysłu Drzewnego w Białymstoku. Dopiero miniona zima dała nam radę. Wyśiadł transport, place zamarzyły, odbiór nie było, ale nie robiliśmy rabanu, że aura zła. Do półrocznego nadrobienia opóźnienia.

Czeka kraj, czekają odbiorcy w RFN, we Włoszech, Francji, Anglii, Belgii. Sprzedają połowę tarcicy za granicę. Tutaj, właśnie, w Augustowie, zrodził się przed laty jej eksport. Niemcy życzą sobie wyłącznie desek augustowskich. Doceniają ich standard, wysoką jakość wykonania. W 150 mln złotych, bo taka jest wartość sprzedaży tartacznych wyrobów — sporo więc jest dewizowych złotych.

Na krajowy rynek drewno nie może być gorsze. I-dzie przecież dla potrzeb lotnictwa, przemysłu okrętowego. Tam wymagają tarcicy pierwszej klasy — beczecznej, o prostym, drobny słoju. I taką dostają. Potrzeby kolei także nie małe. Betonowe podkłady pod szyny — owszem, ale drewno dominuje nadal, a pod rozjazdami, na stykach, w najbardziej niewygodnych punktach, jest niezaprzeczalne. Wiesz też korzystnie z augustowskich wyrobów. Stwierdzono, że w betonowych zabudowaniach inwentarskich bydło nie najlepiej się chowa, więc oni, drzewiarze, robią tzw. hokeje — drewniane słupy i krokwie w kształcie hokejowego kija, a przed siebie zostawiają resztę. Całość przybiera kształt chlewni i obór.

Robią jeszcze deseczki na drewniane skrzynki do pakowania różnych wyrobów, ale już nie w zakładzie. Zlecają przycinanie i pakietowanie — chałupnikom. W zasadzie to też półfabrykat. Marzy im się jakiś produkt bardziej uszlachet-

niowy. To już co innego. Gdy półwyrob nabiera użytkowych kształtów, odpada kosztowny transport, wykorzystane są lepiej umiejętności ludzi, a zysk na zakładowym koncie nie niewspółmiernie.

Było tak nawet, chyba w czterdziestym roku, że robili jakieś proste meble kuchenne. Na razie zostają przy deskach. I choć z roku na rok zakład zmienia się, odmładza, drewniane zabudowania zastępowane są murem, drogi już bite, wózki nie pchane ręcznie, mechanizacja na każdym kroku, zaplecze socjalne dość bogate i takie plany na przyszłość, to przecież zostaje pewien niedosyt. Jakoś przyjemniej byłoby oglądać gotowe wyroby własnej produkcji, zwłaszcza że rachunek ekonomiczny przemawia podobnie.

ANDRZEJ POLAKOWSKI



Zubr już w klatce, w której pojedzie do Puszczy Boreckiej.

Z Siemiatycz na Wiejską

Dzisiejsze spotkanie nosi podwójną funkcję: Informacyjną i konsultacyjną.

Posłanka KRYSTYNA MARSZAŁEK-MYŃCZYK spodziewa się usłyszeć opinie wyborców, które będzie mogła przenieść na posiedzenie komisji sejmowej. Przekazując sądy usłyszane w terenie, ma prawo mówić, że reprezentuje określoną grupę społeczeństwa, z którą problem przedyskutowała.

Tematem spotkania jest model rozwoju kultury w takim ośrodku administracyjnym jak Siemiatycze. Sejmowa Komisja Kultury i Sztuki, której posłanka jest członkiem, w planie jednego z posiedzeń ma do omówienia działalność kulturalną w ośrodkach różnej wielkości: dzielnicach dużych miast, mniejszych miastach, osiedlach i gminach. Dlatego posłanka prosi o głosy na finansowych, społecznego ruchu kulturalnego. Uczestnicy spotkania — przede wszystkim działacze kultury miasta i gminy Siemiatycze — znają te sprawy z autopsji, mają doświadczenie w pracy, wiedzą, o jakich trudnościach, by było im wygodnie, widać w życiu. To zjawisko, zdaniem działaczy kulturalnych, wiąże się także z brakiem możliwości wyjazdu w teren. Podróżowanie pociągami czy autobusami pociągają za sobą straty prawie całego dnia, na co w wypadku młodzieży szkolnej — głównego trzonu zespołu nie można sobie pozwolić. Sprawa środków lokomocji dla SOK przewija się więc w dyskusji kilka razy.

Mówi się też o trudnych warunkach lokalowych miejscowo-gminnej biblioteki, zbyt długich oczekiwań na zakończenie remontu kina, również potrzeby modernizacji sal Ośrodka Kultury, o etacie dla muzeum regionalnego. Muzeum powstało dzięki społecznemu wysiłkowi Towarzystwa Przyjaźni Siemiatycz. Oprócz

Siemiatycki Ośrodek Kultury — można powiedzieć — specjalizuje się w działalności tea-

tralnej. Pracują tu cztery amatorskie zespoły teatralne i teatrzyk baśni „Skrzat”. Programy przygotowywane przez zespoły prezentowane są, niestety, zaledwie po kilka razy i to najczęściej w samych Siemiatyczach. Wynika to stąd, że SOK nie posiada środka lokomocji. Uprzejmość miejsko-gminnych instytucji w wypożyczaniu samochodów ma swoje granice i dlatego instruktor teatralny Zofia Piętko zwraca się do obecnego tu dyrektora Wydziału Kultury UW — Zbigniewa Kuci o pomoc w uzyskaniu samochodu.

Zbyt rzadko w środowisku gminy można słuchać i oglądać nie tylko zespoły teatralne, także muzyczne. Widać je w statystyce, nie widać w życiu. To zjawisko, zdaniem działaczy kulturalnych, wiąże się także z brakiem możliwości wyjazdu w teren. Podróżowanie pociągami czy autobusami pociągają za sobą straty prawie całego dnia, na co w wypadku młodzieży szkolnej — głównego trzonu zespołu nie można sobie pozwolić. Sprawa środków lokomocji dla SOK przewija się więc w dyskusji kilka razy.

Mówi się też o trudnych warunkach lokalowych miejscowo-gminnej biblioteki, zbyt długich oczekiwań na zakończenie remontu kina, również potrzeby modernizacji sal Ośrodka Kultury, o etacie dla muzeum regionalnego. Muzeum powstało dzięki społecznemu wysiłkowi Towarzystwa Przyjaźni Siemiatycz. Oprócz

stałej ekspozycji niejącego już siemiatyckiego malarza Józefa Charytona prezentowane tu są czasowe wystawy miejscowych artystów amatorów i kolekcjonerów. Społecznym przewodnikiem po muzeum był najczulszy Franciszek Miłkowski — prezes Towarzystwa Przyjaźni Siemiatycz. Jego wiek i zdrowie nie pozwalają na oprowadzanie wszystkich chętnych, których wraz z rozwojem turystyki jest coraz więcej.

Muzeum regionalne jest przykładem na to, że rozwijać kulturę można nie tylko profesjonalnie. Administracyjnie na pewno nie wywoła się tak dużego społecznego zaangażowania. Dlatego władze miasta przywiązują wiele uwagi do rozwoju społecznego ruchu kulturalnego inspirowanego m.in. przez Towarzystwo Przyjaźni Siemiatycz. Do powstania Towarzystwa w znacznym stopniu przyczyniła się postać Marszałek Kuci — jako białostocka dziennikarka i działaczka kultury. Jej zaangażowanie Siemiatycze zawdzięcza także restaurację niektórych zabytów. Za to wszystko, co posłanka dla miasta zrobiła i działa, Szymsko dziękuję i proszę o jeszcze. Władze Siemiatycz szczerze się do odbioru nagrody pieniężnej za zdobycie IV miejsca w ogólnopolskim konkursie „Gmina — Mistrz Gospodarki”. Uzyskane 4 mln zł chciałyby przeznaczyć na sprzęt dla przedsiębiorstwa gospodarki komunalnej. Już po spotkaniu sekretarz Szymsko umawia się z posłanką w sprawie pomocy w tym względzie.

ciąg dalszy na str. 4

Bezkrwawe łowy

czy Białowieżskiej żyje wolno, jak przed wiekami (tyle, że już bór nie ten) 200 zębów. Na wiosnę każdego roku odawia się kilka sztuk do innych rezerwatów i ogrodów zoologicznych.

Zdjęcia pochodzą z oddziału w pobliżu Zwierzynicy, 10 zębów przewieziono do Puszczy Boreckiej i tam zostały wypuszczone na wolność, jedną krowę zamówił białostocki „Akcent ZOO”. Bezkrwawe łowy trwały pół dnia.

Warto dodać, że ciężką zimę żubry przetrwały w wymienionej kondycji. Ośrodek Hodowli Zwierząt Radzickich w Białowieży Zwierzynicy zgromadził pożywienie w nadmiarze.

Tekst i zdj. M. Kus.

Niewiele osób wie, że mleko jest najtańszym produktem białkowym pochodzenia zwierzęcego. Wynika to z prostego rachunku: o ile na kilogram białka w wolowinie potrzeba do 8 kg białka roślinnego, w wieprzowinie i jachach od 4 do 5 kg, to w mleku tylko 2-3 kg i to niższej jakości. Białą plyn jest też artykułem wyjściowym do całego szeregu przetworów spożywczych, zaś jako kazeina znalazła zastosowanie w produkcji syntetyków, m. in. włókien sztucznych i galanterii. Nie zatem dziwnego, że zainteresowanie pozyskaniem mleka na świecie i u nas stale rośnie. Idzie to w parze z intensywną hodowlą krów, dążeniem do zwiększenia mleczności, poprawą klasy surowca.

Jednakże głównym warunkiem pełnego zagospodarowania mleka jest posiadanie nowoczesnej bazy o dużym przerobu dobowym. Z tym wszak nie jest najlepiej, jak co rokrocznie do 4 proc. surowca, co w liczbach bezwzględnych wynosi — do 400 mln l, ulega zakwaszeniu. Mleko na równiezi to „wade”, jest bardzo „wodochłonne”: w czasie procesu technologicznego na liter czy kilogram wyrobu finalnego zużywa się do 10 l H₂O. W tej sytuacji wylania się

kolejny szkopol — co robić z morzem ścieków?

Właśnie destrukcyjny wpływ tego rodzaju zakładów na środowisko przyrodnicze jest tematem, który w naszym kraju jest problemem nagłym, aktualnym chociażby dlatego, że prowadzi do zanieczyszczenia i jezior, co jest nie tylko winą spółdzielczości mleczarskiej.

W woj. białostockim funkcjonuje 8 zakładów, z których większość wzniesiono w latach 50-tych. Trzeba przy-

znać, że wtedy do ochrony biosfery nie przywiązywano tak wielkiego znaczenia. Siłą rzeczy wyeksploatowane przez dziesiątki lat obiekty nie radzą z odprowadzaniem w miarę czystej wody do rzek i tak ubogiego w to dobro regionu. Wynika to również

już dwukrotnie więcej. Z kolei w 1976 r. skupiono blisko 273 mln litrów, by rok temu podskoczyło do 318 mln. Przewiduje się, że w roku przyszłym rolnictwo wyprodukuje około 400 mln l surowca, a prognozy następnej dekady

i produkcja kazeiny, co jest już ostatecznością, na dłuższą metę nie zdają egzaminu? Oczywiście, że wyścieśm jest budowa mleczarni bądź unowocześnienia istniejących z zachowaniem jednego — równoległego posadawiania o-

czyszczalni.

Trzeba przyznać, iż zapóźnienia w woj. białostockim w tej mierze są znaczne. Stąd też głównym kierunkiem przedsięwzięcia Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej jest realizacja własnych lub też party-

cywowanie w kosztach obiektów wspólnie wznoszonych w miastach. Jak znaczna jest ta skala potrzeb może świadczyć fakt, że na zadania kontynuowane lub też podjęte do wykonania do końca pięcioletki wydatkuje się 88 mln zł. M.in. pilna potrzeba szybkiego uruchomienia oczyszczalni istnieje w Siemiatyczach, gdzie zakład prze-

ca na dwa dalsze obiekty — w Kryniewie i Doliście, jako że i tam trudności z odprowadzaniem ścieków są problemem palącym.

Zagadnieniem, którego nie sposób pominąć, jest zależność pomiędzy wielkością przerobu surowca a wydolnością urządzeń oczyszczających. Tak dziwnie projektantom się składa, że parametry te w rzeczywistości jakoś nie mogą ze sobą korespondować. Oto niedawno, jak na obiekt przemysłowy przystało, bo śledem lat temu, uruchomiono zakład w Mońkach. Wydawałoby się, iż winien on mieć moc oczyszczalni daleko na

wyrost, nawet przy dwukrotnie większej produkcji, jak ma to miejsce obecnie. Niestety, projektantom zabrakło wyobraźni, albo, co gorsze, zadowolili się zapewnieniem stylizacji ścieków tylko „na jutro”, nie biorąc pod uwagę warunków rozwijającego się rolnictwa. Podobnie rzecz ma się ze zmodernizowanym w 1974 r. zakładem w Białym Podlasku, gdzie w międzyczasie „dostawiono” proskownię mleka.

Brak przyszłościowego spojrzenia prowadzi w konsekwencji do picienia — kosztownego — ścieków mleczarskiej, a ściślej pracowników, wysoki koszt za zatrzymanie wód. Rodzi ogromne kłopoty w budżecie, jakie wiąże się z roz udową oczyszczalni, wejściem do portfela zleceń biura projektowego i stórkroć trudniejsze — znaleźć wykonawcy, odpowiednich urządzeń, surowców i materiałów. Prowadzi to również do szukania dróg wyjścia poprzez program oszczędnej gospodarki wodą, jakiego przyjęto do realizacji trzy lata temu.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, iż spełnił on swoje zadanie i rzeczywiście przyczynił się do bardziej racjonalnej gospodarki tym surowcem. M. in. w wyniku wdrożenia go w i., przy zwiększonym skupie i przerobie, w zieleznianach wóh białostockiego zużyto o 200 tys. m sześć wody mniej aniżeli w 1976 r. Ta — więc realizacja programu doprowadziła do zmniejszenia ilości ścieków.

Konieczność rozwoju gospodarki, zwłaszcza rolnictwa i przemysłu rolnego — spożywczo, nierozdzielnie wiąże się z korzystaniem z tzw. dóbr wolnych — wody i powietrza. Żadna, nawet najnowocześniejsza technologia, nie wyczerpie wody przy przerobie mleka. Rzecz jedynie w tym, by efektywnie i z namysłem umieć pogodzić uzyskanie wyników ekonomicznych z ochroną środowiska naturalnego, gdyż oba elementy są ogromnie istotne.

A. GAWĘCKI

Z Siemiatycz na Wiejską

Ciąg dalszy ze str. 3

Bywa, że ojcowie miast, naczelnicy gmin, dyrektorzy przedsiębiorstw zwracają się do posłów z podobnymi prośbami. Robią to zwykle dlatego, że droga służbowa, jaką miałaby do przebiegu prośba wystosowana przez nich samych, byłaby dłuższa. Posł nie rzadko może się z nią zwrócić do ministra czy dyrektora departamentu bezpośrednio w czasie obrad komisji czy w kulturalnych sejmowych, nie jest to żadne kumoterstwo, sprawa, jeśli może zostać załatwiona nie dlatego, że ją poseł przedstawił, ale dlatego, że na to zaistniała.

Posrednictwo posła jest w tym wypadku precyzyjnym narzędziem, którego centralnie nie sposób dostrzec. Posrednicząc, poseł musi być, oczywiście, przekonany o słuszności interesu społecznego w załatwianiu sprawy, musi słuszną tę prośbę rzeczowymi argumentami.

Podobnie bywa w sprawach indywidualnych wyborców. Krystyna Marszałek jest zdania, że poseł powinien załatwiać jednostkowe problemy interwencyjne pod warunkiem, że jest przekonany o ich bezwzględnej racji. Sejm uchwała ustawy, posłowie muszą więc pilnować praworządności, jeśli widzą, że komus dzieje się krzywda, obowiązkowo ich jest człowiekowi pomoc. Zresztą w sprawie indywidualnej odzwierciedlać się może także doniosły problem społeczny, wobec którego mandatuariusz wyborców nie może być obojętny. Jest przedstawicielem narodu, ale i przedstawicielem konkretnych obywateli, tych, którzy go wybrali.

Wnioski z siemiatyckiej spotkania posłanka notuje by przekazać je na sejmowej komisji. Właśnie na posiedzeniach komisji dochodzi do konfrontacji różnych punktów widzenia: stanowisk resortów i posłów-rzeczników interesu społecznego. Znaczną część dorobku Sejmu wiąże się z pracą komisji — ogniem kontroli i inspiracji. To, co oglądamy w czasie transmisji z plenarnej obrady Sejmu jest finalnym momentem stanowienia prawa, poprzedzonym długim procesem często burzliwego jego tworzenia, uzgadniania różnych opinii. Nie znając dyskusji komisyjnych, wyborcy bywali niejednokrotnie przekonani o jednolitych stanowiskach posłów wobec rozmaitych spraw. A przecież — jak powiedział sekretarz KC partii — Edward Giersek — „jednostkowa orientacja nie wyklucza, lecz odwołuje — zakłada globalną i rzetelną dyskusję, dyskusję demokratyczną, uwzględniającą różne opinie i poglądy w ramach generalnych założeń politycznych”. I tak się dzieje w czasie obrad sejmowych komisji. Być może zbyt rzadko o tym mówimy, niebyleż często relacjonujemy dyskusje poselskie i dlatego gdzieś niedługo utrzymuje się opinia o małej aktywności posłów, utrzymuje się statyczny obraz obrad sejmowych. Niektórzy wyborcy nawet nie wiedzą, że ten i ten poseł występował w ich imieniu, że dzięki jego wystąpieniu w komisji doszło do załatwienia tego i tego społecznie ważnego problemu.

Dlatego posłanka — jak pisała — przedstawicielka Sejmu — w drugiej, informacyjnej części spotkania relacjonuje to, czym komisja i podkomisja zajmowały się w ostatnim czasie. Oto podkomisja do

spraw społecznych, stale działająca przy Sejmowej Komisji Kultury i Sztuki analizowała sytuację socjalno-bytową m.in. pracowników księgarstwa. Praca w księgarstwie nie jest łatwa z uwagi na niski stopień mechanizacji zajęć i ze względu także na to, że jedyna trzecia księgarzy to placówki z jednoosobową obsługą. Opinie podkomisji przekazane zostały resortowi kultury.

Każda komisja sejmowa wyłania spośród siebie podkomisję stałą a także w razie potrzeby powołuje nadzwyczajną do badania szczególnych problemów. Posłanka Marszałek przewodniczyła niedawno podkomisie nadzwyczajnej do spraw gospodarki papierem na cele wydawnicze. Po zakończeniu prac podkomisja przedstawiła relację na posiedzeniu Sejmowej Komisji Kultury i Sztuki. Relacja poprzedzona została dokładnym rozpoznanem sytuacji w produkcji i dystrybucji papieru. Wynikało z niej, że pulę papieru przeznaczoną na cele wydawnicze nie zaspokaja potrzeb czytelników. Z ogólnej ilości zużywanego rocznie papieru tylko 15 proc. przeznaczona jest na książki i prasę. W tej sytuacji — postulowali posłowie — należałoby zwrócić uwagę na lepszą gospodarkę papierem, właściwe warunki jego przechowywania i transportu, również sprawnejsze pozyskiwanie poprzez zbiórki makulatury, a potem sortowanie i uszlachetnianie tego cennego surowca wtórnego.

Na temat wykorzystywania papieru na cele wydawnicze mówi się i pisze coraz częściej. Nie jest to na pewno bez znaczenia poselskiej. Komisja wystosowała w tej sprawie dezerat do rządu. Dezeraty są formą postulatów kierowanych do rządu i poszczególnych ministrów. Organa te zobowiązane są do ustosunkowania się do dezeratów poselskich, nie muszą tego czynić natychmiast w stosunku do opinii komisji sejmowych, w których posłowie formułują swoje stanowisko w określonej sprawie.

Komisja Kultury i Sztuki wystąpiła z inicjatywą poselską przygotowania projektu ustawy o terenowych funduszach ochrony zabytków. W skład nadzwyczajnej podkomisji, która pracowała nad projektem ustawy, wchodziła także posłanka Marszałek. Fundusz, pomysły mają uzupełnić dotacje państwa, powinny przyczynić się do właściwej troski i szybkiego działania w ochronie zabytków, szczególnie w mniejszych miastach i miasteczkach. Polska jest krajem, który od razu po wojnie wraz z odbudową i rozbudową przemysłu przystąpił do ochrony zabytków. Mimo wielu dokonań w tym względzie zabytki wymagają stałej troski, wraz z latami następuje proces ich dekapitalizacji, dlatego intensywna poselska z pewnością spotyka się z poparciem społecznym.

IRENA BERNACKA

Wśród około 30 posłów-członków Sejmowej Komisji Kultury i Sztuki, Białostocką reprezentują oprócz Krystyny Marszałek-Młynarczyk także Jerzy Grybaczak i Ryszard Bender. W skład Komisji wchodzi również m.in. tacy znani działacze kultury i sztuki jak: Jarosław Iwaszkiewicz, Wojciech Żukrowski, Tadeusz Hołuj, Wilhelm Szewczyk, Mariusz Dmochowski, Gustaw Holoubek.

KRYSZYNA MARSZAŁEK-MŁYNARZYK — członek Prezydium, sekretarz Centralnego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego, czwarta kadencję pełni funkcję posła Ziemi Białostockiej. Jest członkiem Sejmowej Komisji Kultury i Sztuki i wiceprzewodniczącą Komisji Spraw Zagranicznych.

Z ramienia Komisji Kultury pracuje w stałej podkomisie prasy i wydawnictw, która zajmuje się problemami księgarstwa, poligrafii, działalnością wydawniczą, Polskiej Agencji Prasowej i RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Jest wiceprzewodniczącą Zarządu Polskiej Grupy Unii Międzyparlamentarnej i przewodniczącą polskowskiej grupy bilateralnej wewnątrz Unii.

Unia skupia parlamentarzystów wszystkich krajów świata, kształtuje ich poglądy na aktualne problemy: rozbrojenie, współpracę między narodami, zagrożenia ekonomiczne, kulturę, oświatę. Wypowiada się w najważniejszych sprawach kuli ziemskiej: kolonializmu, terroryzmu, apartheidu, białego gwałtu, praw parlamentarzystów. Organizuje światowe konferencje bezpieczeństwa i rozbrojenia.

Ciąg dalszy ze str. 1

dziewięćdziesięciu pięciu, w całym województwie 118. Ogromna większość, to sprzedawcy uliczni, ci spod parasoli, z wiaterek goździków, czasem gerber. Oceniam, że przez ich ręce przechodzi połowa sprzedawanych w Białymstoku kwiatów ciętych. Tymczasem nie mają prawie żadnych legalnych możliwości zaopatrywania się w kwiaty.

Sytuację taką spowodowało zarządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług z 28 października 1974 r., którego paragraf 19 punkt 1 brzmi jak następuje: „Uprawnienie do prowadzenia przedsiębiorstwa handlu detalicznego branży spożywczo-rolnej i przemysłu gastronomicznego upoważnia do zakupu artykułów u producentów rolnych i rybaków (...) na obszarze województwa, w którym przedsiębiorstwo ma siedzibę” (podkreślenie — aut.).

Białostocki kwiaciarnik może liczyć na zdobycie niewielkich tylko nadwyżek produkcyjnych pozostających u miejscowych producentów po realizacji zobowiązań kontraktacyjnych z WOSP (przypominam, że przydział kokuś zależy od tego właśnie Spółdzielni). Głównym dostawcą kwiatów pozostaje stołeczne województwo warszawskie, które zaopatruje w kwiaty cięte jedną trzecią Polski. Oczywiście zakaz zakupów międzywojewódzkich pozostaje w mocy, tyle że nie powstrzymuje to nikogo przed handlowaniem. Atmosfera nielegalności stwarza okazje do nadużyć. Kwiaciarnie opłacają mandaty, nieczym swoiste myłodegowe. Również milicja białostocka karze mandatami kwiaciarni omijających nieżyłowy zakaz.

Pachnący biznes

Wydział Handlu UW zamierza wystąpić do ministerstwa o uchylenie tego zakazu. Wszyscy bowiem działacze gospodarczy potwierdzili, że zaopatrzenie Białegostoku w kwiaty cięte zależy od warszawskich i wielkopolskich ogrodników. Właśnie stamtąd pochodzą piękne kwiaty prezentowane na niedawnej wystawie w „Jajach” Handlu UW do sąsiednich województw o zgodę na wzajemne zakupy spotkało się z gremialną odmową, jedynie Siedlce przystały na pięciu kwiaciarni.

Zarządzenie z 28.X.1974 r. nie dotyczy przedsiębiorstw uspołecznionych i ajencyjnych. Dopiero ten fakt ukazuje nam prywatnego kwiaciarnia, jako przemyślnika międzywojewódzkiego, który handluje nielegalnie zdobytymi kwiatami z oficjalnym przyzwoleniem władz handlowych.

Można tedy postawić pytanie: Dlaczego prywatni kwiaciarnie nie przechodzą na system ajencyjny? W Białymstoku działa tylko jedna kwiaciarnia ajencyjna, druga jest w Siemiatyczach. Prywatnych przedsiębiorców odstrasza łącznie obliczany podatek dochodowy i obrotowy. Na pewno też w prywatnym biznesie zyski są wyższe, mimo wielu utrudnień w swobodnym handlowaniu. Co ciekawie, wszyscy ajenci kwiatów w Warszawie stali się hurtownikami zaopatrującymi kwiaciarnie prywatnych (to kolejny przykład obchodzenia zakazu zakupów międzywojewódzkich).

KLIENT PŁACI, KLIENT WYMAGA

Wciąż jeszcze kwiaty kupujemy nie z odruchu serca, ale na jakąś okazję. I jak zawsze w sytuacjach uroczystych zależy nam przede wszystkim na efektownej wizualizacji, mniej już uwagi zwracamy na cenę. Wydawałoby się, że przy takiej koniunkturze kwiatów nie powinno brakować. Ale cennika obejść nie da się, jak wspominał wyżej zakaz. Zdarzają się

oczywiście próby pobierania wyższych cen od figurujących w cenniku, ale są to przypadki sporadyczne. Nie warta skórka wyprawki, bo inspektorzy PIH-u działają szybko i nieubłagani.

Ceny ustala Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodniczo-Pszczelarska, które zatwierdza Wojewódzki Zespół ds. Koordynacji Cen i Zagospodarowania Produktów Ogrodniczych. W skład Zespołu nie wchodzi żaden przedstawiciel prywatnych kwiaciarni. Rzeczywiście są oni bardziej operatywni i im szczególnie zależy na elastycznych cenach, uwzględniających bieżącą koniunkturę.

Elastyczne ceny mogą uatrakcyjnić i wzbogacić ofertę kwiatową. Jeżeli kwiaty deficytowe i zielony asparagus będą okresowo wyłączone z cennika, to stworzy to możliwość stosowania cen umownych; wyższych od cennikowych, ale zblizonych do cen dyktowanych przez ogrodników. Klient sam decyduje czy taki drogi asparagus kupi czy nie.

Przy szerokim stosowaniu cen umownych trzeba jednak wprowadzić górne granice cen hurtowych, jakich żądają ogrodnicy, by nie dopuścić do ich zawyżania ponad rzeczywiste koszty produkcji. Byłoby to swoista ustawa antytrustowa. Jej skuteczność zależałaby przede wszystkim od postawy organów kontroli handlowej w Warszawie, tam bowiem koncentruje się produkcja i sprzedaż kwiatów.

ZOSTAJĄ W TYLE

Kwiaciarnie uspołecznione zostają w tyle za prywatnymi. W 1978 r. WOSP zakontraktowała 541 tys. kwiatów. Dostarcza je do sklepów WSS „Społem”. Kierownictwa sklepów mogą też zaopatrywać się

na własną rękę ale obowiązują je sztywne utrzymanie 30-procentowej marży. Jedynie kwiaciarnia „Gerbera” przy ul. Lipowej sprzedaje czasami ładne kwiaty — od storczyków po małe, sympatyczne wiązanecki. Ostatnio jednak ogrodnik spod Ostrowia Wielkopolskiego odmówił dostarczenia storczyków — cena była za niska.

DROGA DO KWIATÓW

Wszelkie manipulacje cenowe nie poprawiają na dłuższą metę Białegostoku w kwiaty cięte. Radykalnie rozwiązać sprawę przyspieszenie inwestycji szklarniowych, wtedy dopiero zniknie w rzeczywistości pojęcie: „nowaliki”, które powinny być w sprzedaży przez cały rok i wtedy też nie zabraknie nam wiosną i zimą kwiatów. Rozumiem, że nowe inwestycje są ostatnio tematem bardzo niepopularnym, ale mówię tu tylko o inwestycjach planowanych i częściowo rozpoczętych.

Postuluje utworzenie specjalistycznego kombinatu kwiatowego przy PGO Ignatki na bazie starych szklarni. Takie są zamierzenia po wybudowaniu nowych szklarni, ale w PGO Ignatki nie ma specjalistów do hodowli kwiatów. Kwiaty to nie warzywa, wymagają nie tylko troskliwego hodowania, lecz i równie umiejętnego przygotowania do sprzedaży. Pakowanie gerber w peki jak goździki na pewno zaszkodzi ich urodzaj. Ubiegłego lata PGO Ignatki oferowały hurtowo po bardzo niskich cenach kwiaty prywatnym kwiaciarnom i żaden z nich nie kupił, tak były zniszczone.

Więc duży kombinat kwiatowy dysponujący funduszami, nawet dewizami na hodowlę kwiatów (zakup cebulek i sadzonek) i kadraj specjalistów. Nadprodukcji kwiatów możemy się nie obawiać, w sąsiednich województwach deficyt kwiatowy jest jeszcze większy.

JERZY MUSZYŃSKI

Perla Supraśla — pałacyk Bucholtzów, w którym mieści się Technikum Plastyczne. Dopiero obsypanie się tynku z sufitu w akademiku i podparcie stropu drogami zmusiło konserwatorów do podjęcia remontu.

Fot. Sieńko — CAF



Sztynort (woj. suwalskie). Cenny zespół obiektów: pałac, widoczny na zdjęciu spichlerz i stajnie. Ma tu być międzynarodowy ośrodek żeglarski. Kiedy — nie wiadomo? Fot. Z. Lenkiewicz

Mamy w kraju ogromne zasługi w ochronie zabytków, szczególnie w ich odbudowie. Przykładem warszawskiego Starówka, Zamek Królewski. Mamy również ogromne zaniedbania, które doprowadziły do dewastacji i ruiny wiele cennych obiektów historycznych. Stać nas na błyskotliwie, jednorazowe akcje, absolutnie nie stać na stałą codzienną konserwację zabytków.

Budynki jak uroda, wymagają pielęgnacji na bieżąco. W dewastowany obiekt trzeba będzie włożyć o wiele więcej środków i materiałów by przywrócić mu dawną świetność. A pieniądze na konserwację zabytków ciągle brakuje. Pracownicy Konserwacji Zabytków mają minimalne w stosunku do potrzeb limity inwestycyjne i nie mogą wykonać. Zła organizacja pracy — rozpoczęcie odbudowy wielu obiektów naraz, przestoje, niebezpieczeństwo w porę odpowiednich materiałów — tylko po części owa trudność.

W naszym regionie również panuje aktywność w odbudowie zabytków. Dopiero alarmy w prasie zmuszają konserwatorów do energiczniejszych działań. Tak było z Tykocinem, tak się dzieje obecnie z Supraślem. Supraślski zespół obiektów zabytkowych od lat jest zagrożony.

Widocznie ludzie odpowiedzialni za zabytki wychodzą z założenia, że po nas to choćby kamienie. (jm)

W medycynie, nauce, a może sztuce przeznaczonej m.in. do zwalczania bólu, pod pojęciem „ból” kryją się dwa pojęcia. Możemy rozumieć je jako jeden z podstawowych rodzajów uczucia, które posiada swoje receptory, włókna przewodzące, drogi i ośrodki (pojęcie fizjologiczne) i bez takiego odczuwania ból byłby nam bardzo trudno, podobnie jak z brakiem czucia wężu, smaku, czy też dotyku. Natomiast drugie pojęcie wiąże się z chorobą, gdzie ból stanowi jeden z objawów, czasem zasadniczy, jak w nerwobólach i niektórych bólach głowy. Takie przypadki medycyna stara się zwalczać, eliminować ludzkie cierpienie. Tam gdzie ból jest samostany i stanowi jedyny przejaw choroby, jego usunięcie równa się — rzecz oczywista — wyleczeniu.

W neurologii istotny problem kliniczny stwarzają samostane bóle głowy oraz nerwobóle. Są to przypadki bardzo powszechne, jednocześnie skuteczność leczenia owych dolegliwości w dalszym ciągu jest niewystarczająca.

Lekarze neurologów dysponują metodami terapii: farmakologicznymi, fizykalnymi i psychoterapeutycznymi. Do farmakologicznych wielu ludzi jest uzależnionych. W aptekach pojawiają się coraz to nowe leki reklamowane jako rewolucyjne, na których różnicę robią kokosy, a często skutkuje one w stopniu mizernym, na demiar złego nie pozostają bez wpływu na inne narządy organizmu.

W ostatnich latach coraz częściej słyszy się o próbach rezygnacji z faszeringowania pacjentów proszkami i uciekania się do tradycyjnych metod leczenia, opierających się przede wszystkim na ziołach i innych domowych sposobach. Schorowani, cierpiący ludzie zrażeni bezskutecznością i przykrym objawianym ubocznymi nowoczesnych specyfików chętnie korzystają z tych metod.

Szczególnie zioła budzą wiele nadziei, gdyż kryje się w nich sporo tajemnic. Pewne

jest także, że powodują mniej objawów ubocznych. Nie każda choroba można wyleczyć jednak samym rumiankiem czy berberysiem. Chorzy w poszukiwaniu nadziei gotowi są niejednokrotnie poddawać się sposobom leczenia nie zawsze przez oficjalną medycynę akceptowanym, a nawet zwalczanym. Stąd popularność Kilmuski i jego zielarskich talentów, Clive'a Harrisza z tajemnymi biopirami, a nawet znachorów, których co raz mniej na świecie, zaś twórcy Walczka trafiła do literatury.

Ale i wśród poważnych medyków są ludzie, którzy bez obawy posądzania o znachorskie zabiegi stosują w swojej praktyce sposoby niezupełnie jasne i opisane, to ich zdaniem — skuteczne. Także w neurologii, gdzie istota choroby zwanego bólem nie jest dokładnie znana, do jego zwalczania stosuje się niekiedy metody, których koślawy efekt nie zawsze ma uzasadnienie w uczynnych księgach. Stwierdza się jedynie niewątpliwą poprawę stanu zdrowia pacjenta. Do metod takich możemy zaliczyć akupunkturę i jej dzieckiem urodzone w epoce cywilizacji technicznej — elektrostimulację.

Zimny dotyk tamponu umoczonego w jodynie wywołuje odruchowy wstrząs ciała. Szczególnie gdy pacjent leży płackiem na brzuchu i nie widzi, co się dookoła dzieje, a dotknie ktoś jego pleców. Lekarz naczyń fioletową ścięgę, której punkty układają się od szyi wzdłuż barku i ręki aż do nadgarstka. Z uniesionej do góry strzykawki sikał cieniutki strumyczek. Brrr, niemiły moment.

Nie boli się pani, że będzie bolało — przekonanie zagaduje lekarz.

— Ależ panie doktorze, proszę robić, to nic nie boli, prawie nie czuję. A zresztą, gdyby nawet bolało...

— No i jak samopoczucie po dwóch poprzednich zabiegach?

— Oj, jak lekko zrobiło się, panie doktorze, jakby inny człowiek. Już i rękę mogę unieść i głowę obrócić. Nic nie boli.

— Czy to nie przesada, dopiero przecież rozpoczęliśmy leczenie?

— Naprawdę, panie doktorze, bardzo mi pomogło. Igły stopniowo wnikały pod skórę, która nabrzmiewała trochę w tym miejscu od podawanego leku. Po wkłuciu pozostają w ciele, a lekarz zakłada na strzykawkę następną „szpilę”. Robi się taki je-

zyk na plecach, trochę zabawy nawet.

— Proszę teraz leżeć spokojnie, nie ruszać się, rozluźnić mięśnie. Poczekamy chwilę...

Pacjentka od lat skarżyła się na przewlekłe nerwobóle szyi i barku, nie mogła ruszyć głową i ręką, ma zwyrodnienie zmiany w kręgosłupie. Od początku leczenia ambulatoryjnie, półkilojowymi tabletkami, przyjęła wiele serii strzykawk, co przede wszystkim zaskoczyło jej sercu i wiatróbce, podrażniło przewód pokarmowy. Trafiła wreszcie do doktora Władysława Amielanicy, którego dolegliwości nie były jej akupunkturą.

Garnizonowy. Jest absolwentem Wojskowej Akademii Medycznej a urodził się na Białostocczyźnie. Przeszedł wszystkie szczeble wojskowej awansu i obecnie w stopniu podpułkownika pełni funkcję ordynatora oddziału neurologicznego. Oddział ten jest duży, dwadzieścia kilka łóżek, nader skromna obsada lekarska, pielęgniarki. Posiada za to nowoczesne wyposażenie, m.in. aparaturę do badań elektroencefalograficznych i echoencefalograficznych. Większość pacjentów stanowią wojskowi i ich rodziny. Są także osoby nie mające z armią nic wspólnego, których dolegliwości nie były w stanie usunąć lekarze cy-

na odmianę akupunktury. W zabiegu tym doszedł do perfekcji, swoje doświadczenia przekazał innym szpitalom wojskowym. Nie wiem, czy metoda ta znana jest w lecznictwie cywilnym. Często bywa, że doświadczenia wojsko- wych klinicystów, wśród których znajdują się wybitni specjaliści, pozostają mało znane. Nie chodzi o rzeczywiście sekret, to kwestia braku przepływu informacji.

Akupunktura jest najstarszą i skuteczną metodą leczenia bólu (łac. acus — igła, punctura — kłucie). Pochodzi ze Wschodu, gdzie szczególnie w Chinach ma wieloletnią tradycję. Klasyczna akupunktura polega na podskórnym

Kazimierz Siemieniako

Szpilki

Mineło około dziesięciu minut. W tym czasie w miejscu wkucia igły ciało wyraźnie zacerwieniło się, powstała szeroka pręga. Zarumieniła się także twarz pacjentki. Po czątkowej pasy nabrały intensywności.

Już wystarczy, teraz tylko zabierzemy igielki, wystarczy, żeby przypadkiem ktoś nie pozostawił.

— A przydałoby się przynajmniej jedna. Jak tylko zaboli, to bym się ukuła i po wszystkim.

— Niezupełnie, niezupełnie — śmieje się lekarz.

Doktor medycyny Władysław Amielanicy, specjalista neurologii i psychiatrii osiadł w Elblągu przed kilkunastu laty i od tamtej pory pracuje w Wojskowym Szpitalu

wilni. Uwidacznia się tu autentyczna pomoc wojskowej służby medycznej dla społeczeństwa Elbląga.

Doktor Amielanicy zysk w swojej praktyce lekarskiej. Trzyma się nieodmiennie zasady: stosować wszelkie metody leczenia, które mają szansę skuteczności. Niech to będzie spóty, nawet dziwne, byleby chorey przestał cierpieć. „Lepšie kłamstwo które uzdrawia, niż prawda, która nie leczy” — mówi i swoim pacjentom wierzącym tylko w skuteczność baniek czy ziół, owe bańki, owszem, zaleca, zapisuje zioła, a jednocześnie nie raz potrzebuje podaje antybiotyki, w moc którego z kolei pacjent nie wierzy. Jedno z dwóch na pewno pomoże.

Od wielu lat stosuje włas-

wbijaniu do tkanki w ściśle określonych punktach ciała igieł, najczęściej złotych lub srebrnych, które pozostają wkłute od kilku sekund do kilku godzin.

Naukowe, fizjologiczne wyjaśnienie tej metody datuje się od pracy Warda „On akupunktura” wydanej w 1858 roku. Dziś akupunktura zdobyła popularność na całym świecie, stosuje się wale jej modyfikacji, przy czym w dalszym ciągu znana jest przede wszystkim w klinikach, m.in. w Klinice Neurologicznej Centrum Kształcenia Podyplomowego Wojskowej Akademii Medycznej w Warszawie, podczas gdy w większości szpitali chorych faszeringuje się wytworami przemysłu farmaceutycznego.

choćby kamienie



Wileńskie, koło Białogostoku. Na budynku tym widnieje tablica, która chroni go jako zabytek. Fot. W. Niczyporuk



Kiedyś to był piękny dwór w Strabli, teraz coraz bliżej do ruiny. Opowiadają strablianie, jak kryli obory dachówką z dworku, którą za bezcen „sprzedawali” robotnicy PKZ. Fot. Zaremba

Metoda doktora Władysława Amiełańczyka określana przez niego jako histaminogigototerapia jest udoskonaloną odmianą akupunktury w jej klasycznym wydaniu, dająca zdaniami autora wyniki optymalne. Za pomocą tej metody leczą on przede wszystkim ostre i przewlekłe zespoły bólowe: wszelkie nerwobóle, mięśniobóle, wybrane przypadki bólów głowy, a także bóle stawów bez nasilonego odczynu zapalnego. Dr Amiełańczyk stosuje także akupunkturę w przypadkach złazienia, przeczulicy, porażenia kończyn, drżeń czy kurczów mięśni pochodzenia nerwowego. Nie kwalifikują się natomiast do leczenia tą meto-

ma histaminę w łącznej ilości 1 ml. Na czym polega ona? Magiczna moc akupunktury, zabiegów stosunkowo prostych, a jednocześnie ciągle owianego nim tajemnicą? W literaturze fachowej brakuje, niestety, pełnej odpowiedzi na to pytanie. Przyjmuje się jedynie, że akupunktura tłumia ból poprzez kilka mechanizmów neurofizjologicznych. Do ich zrozumienia potrzebne jest jednakże przynajmniej ogólne pojęcie o przewodzeniu bodźców bólowych w ludzkim organizmie.

W ujęciu współczesnym wygląda to następująco: bodźce bólowe odbierane są przez swoje receptory i w zależności od rodzaju pobudliwości owych odbiorników przenoszone bądź to włókami nerwowymi grubymi do kory cieniowej, bądź to włókami cienkimi do układu siatkowego i limbicznego (są to części mózgu). Pierwszy rodzaj włókien przewodzący bodźce wiąże się z fizjologicznym pojęciem bólu, drugi zaś układ kojarzy się z patologią, a odczuwanie tego bólu połączone jest z cierpieniem.

Przyjmuje się, że stosując akupunkturę drażni się zakończenia włókien grubych, przez co blokuje się przewodnictwo bodźców bólowych we włókach cienkich. Dotyczy to rdzeniowego mechanizmu przenoszenia bólu. Po drugie, akupunktura drażni zakończenia włókien cienkich, przez mechanizm pniowy od-

działuje się z kolei na część zstępującą — hamującą układ siatkowy, do którego to trafiają impulsy bólu odczuwanego jako cierpienie. Bardzo istotne jest oddziaływanie na mechanizm korowy, przez co zmniejsza się odczuwanie bólu i eliminuje reakcję psychiczną decydującą o cierpieniu.

Tajemna moc akupunktury na tym jednak się nie kończy. Podczas badań nad mechanizmem działania morfiny odkryto o przewodzeniu bodźców bólowych zwane enkefalinami. Są to peptydy o niezwykle silnym działaniu przeciwbólowym, 30 razy silniejszej niż morfiny. W ślad za tym odkryto inne ciała biał-

kowe o działaniu jeszcze silniejszym. Rola tych peptydów nie jest jeszcze całkiem jasna, odkryto je dopiero przed dwoma laty, stwierdzono już natomiast ich wzrost po różnych zabiegach łagodzących ból, jak akupunktura i elektrostimulacja.

Poza samym działaniem wkuwanych igieł, do czego ogranicza się klasyczna akupunktura chińska, w metodzie doktora Amiełańczyka dodatkowo podaje się pacjentom histaminę hydrochlorid, lek silnie działający na organizm, szczególnie na układ krążenia. Histamina oprócz drażnienia receptorów silnie rozszerza naczynia powierzchniowe w miejscu wkucia, powodując przekrwienie. A przekrwienie ma działanie

Optymistycznie twierdzą, że jeśli tak dalej pójdzie, to raki wkrótce będą występować tylko w podręcznikach zoologii i staropolskich przysłowach. Pesymiści nawet w to wątpią, bo i poniekąd słusznie, bo kto dziś pamięta, co właściwie znaczy powiedzenie, iż coś się spełni „jak rak świni”?.

Wina za brak raków w naszych wodach obciąża się — ogólnie rzecz biorąc — postępem cywilizacyjnym, przy czym mieszkańcy wsi szczególnie naciągają na szkodliwość przemysłu, mieszkańców miast — na sztuczne nawozy, zaś jedni i drudzy uniosono potępiają detergenty, wliczając w to środki owo-

„RAKÓW BYŁO WSZĘDZIE ZATRZĘSIENIE”

— powiadają przedstawiciele najstarszego pokolenia i — delikatnie rzecz ujmując — mijają się z prawdą. W okresie międzywojennym, gdy raki stanowiły artykuł eksportowy i stanowiły źródło dewiz (a więc już choćby z tej racji zainteresowanie nimi było dość duże) obliczano, że żyją one w około 30 proc. wód ówczesnego województwa białostockiego. Jednocześnie narzekano na kilka kolejnych pomorów. Największą katastrofę spowodowała tzw. duża rakowa w latach 1903—1905. Objęła ona całą Europę środkową. W jeziorze Wigry raki po raz pierwszy pojawiły się po niej dopiero w 1923 r. a i to jedynie w małych ilościach oraz w jednym miejscu, a mianowicie koło Cimochowizny. Lokalnie pomory wybuchały co kilka lat. W 1913 r. epidemia objęła jeziora Białogóra, Sumowo, Dżimtrowo i Dunajec w ówczesnym starostwie sejmickim, w 1921 r. wyginęły jedynie raki w jeziorze Długim w pow. augustowskim.

W końcu lat dwudziestych i na początku trzydziestych największy rejon połowu raków w pow. suwalskim stanowiły jeziora państwowe: Szelment, Duży, Szelment Mały, Kupowo, Zubrowo, Białe, Czoskowskie, Słepie, Przystań, Hańcza i Jegliniec oraz prywatne: Okmin, Garbaś i Rospuda; w pow. sejmickim z jezior państwowych Długie i Gaduś, z prywatnych — Gremdy, Klejwy i Berniki; w pow. augustowskim — państwowe: Serwy i Bliżna, prywatne: Reszki, Kruzewo i Rajgrodzkie.

Połowem raków na użytek smakoszy krajowych i zagranicznych w latach 20-tych zajmowały się trzy firmy: Suwalska Spółka Rybacka, Augustowska Spółka

Rybacka oraz firma „Kozakiewicz” eksploatująca w zasadzie tylko jeziora sejmickie.

„POKAŻE CI, GDZIE RAKI ZIMUJĄ”

— mówi jedno ze staropolskich przysłów. Brzmi to groźnie, choć dalebóg nie

wiem dlaczego. Przed wojną wiele raków spędzało jesień i część zimy w magazynach, gdzie były specjalnie dożywiane, a wskutek tego osiągały duże rozmiary. Podczas gdy kopa (60 sztuk) letnich raków ważyła co najwyżej 2 kg, to kopa raków karmionych w skrzyniach ważyła od 2,5 kg do 3,5 kg. Dożywianie było kosztowne, w sumie jednak opłacało się, gdyż za duże raki uzyskiwano znacznie wyższe ceny niż za małe.

Ogólnie rzecz biorąc wyróżniano 3 gatunki raków: duże długości 15—18 cm; średnie długości 12—15 cm; drobne — od 8 do 12 cm.

Różnica niby mała, ale ceny kupna od połowaczy w maju 1923 r. wahały się od 8.000 do 300.000 marek polskich, zaś ceny sprzedaży w Warszawie od 16 tys. do 450 tys. marek za kopę. Podaje ceny z tego roku, bo akurat wówczas przeprowadzono badania, a w związku z tym dysponujemy danymi porównawczymi z wszystkich miast. Fakt, że marka nie ułatwia, oczywiście, wyjaśnienia problemu, ale z drugiej strony różnica cen jakie płacono za suwalsko-augustowskie raki w Warszawie i np. w Berlinie mimo inflacji jest znakomicie widoczna.

Tak więc podczas gdy w Warszawie ceny za kopę wahały się od 8 tys. marek w maju do 750 tys. w grudniu, to w Berlinie na dworcach wschodnim wprost z wagonu płacono za kopę: w maju — 40 tys., w czerwcu i lipcu — 200 tys., w sierpniu — 350 tys., we wrześniu — 800 tys., w październiku — 1 mln 200 tys., w listopadzie — 1 mln 800 tys., w grudniu — 2 mln.

Astronomiczne ceny, wynikające nie tylko z inflacji, ale i stąd, że jesienią raków nie połowiano, a dostarczane z magazynów były odpowiednio większe.

„KOWAL ZAWINIŁ, ŚLUSARZA POWIESILI —

— czyli ład jak w Kumelsku” mówiło zapomniane już dziś niemal przysłowie. Tak właśnie rzecz się ma po trosze z postępowem cywilizacyjnym, detergentami i sztucznymi nawozami. Nie utrzymując bynajmniej, że nie czynią one w przyrodzie spustoszenia, twierdząc, iż nasi dziadkowie i ojcowie czynili wcale nie mniejsze.

Suwalska S-ka Rybacka w samym tylko 1923 r. zlo-

wiła w państwowych jeziorach 4.217 kop raków, Augustowska S-ka Rybacka

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

tylko w maju tego samego roku (za inne miesiące brak danych) złapała 115,5 kop, zaś firma „Kozakiewicz”, dzierżawiąca państwowe jeziora w pow. sejmickim złapała 424 kopy raków. Razem — 4.756,5 kop czyli 285.390 sztuk. Ile złowiono na użytek własny dzierżawców i posiadaczy jezior, o kolich restauratorów itp. tego oczywiście statystyka nie ujmuje, gdyż w obliczeniach brano pod uwagę głównie to, co szło za granicę.

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Rybacka poprzez Berlin usiłowała dostać się na paryski rynek, co jej się oczywiście nie udało.

I wtedy (wciąż mowa o roku 1923) suwalscy kupcy

zdołali się na coś, czego w

Eksport był opłacalny mimo dewaluacji marki.

umf” i „Micha”, zaś w Olecku — „Boczwina”.

Berliński kupcy nie tylko po to sprowadzali raki, aby je sprzedawać swojej klienteli, lecz by odsprzedać. Francuzom. Ile otrzymywali za polskie raki w Paryżu, tego nie wiemy, ale rzecz musiała być opłacalna, bo Suwalska Spółka Ry

MOJA BIBLIOTEKA

Nowe tytuły

Cieężka tegoroczna zima i związane z nią braki w dostawach papieru spowodowały pewien zastój na rynku wydawniczym, do księgarń rzadko docierały książki. Stąd też w ciągu minionych miesięcy trudno było otrzymać jakiegokolwiek nowości, brakowało również podstawowej literatury, zwykle łatwiej dostępnej. Ale kryzys minął i na półkach pojawiło się sporo nowości, spośród których co najmniej kilka zasługuje na szczególną uwagę.

Wraz ze zbliżającym się latem dobiega końca kolejna edycja naszego konkursu „Moja Biblioteka”, a więc zbliża się ostateczna szansa rozbudowania domowego zbioru. Nadaliśmy setki kuponów stwierdzających zakup książek i są to często sumy niebagatelne. Mamy również nadzieję, iż losowane raz w miesiącu premie pieniężne także przeznaczone są na powiększenie bibliotek.

Dzisiaj proponujemy przede wszystkim pierwsze wydania książek, które z pewnością staną się towarem pilnie poszukiwanym na księgarskim rynku. Zresztą część z nich już dotarła do niektórych księgarń, zatem

EWA K. KOSSAK: W STRONĘ MISI Z GODEBSKICH. CZYTELNIK, WARSZAWA 1978 r., s. 485 (zdjęcia z albumu Misi), zł 60.

Na tę zapowiadana już dawno książkę czekano z niecierpliwością. Ewa K. Kossak — znana autorka pracy o Dągu Przybyszewskiej — przedstawiła losy Misi Sert z Godebskich, kobiety żyjącej w Paryżu na przełomie XIX i XX wieku, muzy i opiekunki wielu pisarzy, poetów, muzyków i malarzy. Dysponującą wielką urodą i olbrzymim wdziękiem, a nade wszystkim — przez pewien okres — milionową fortuną. Misią skupiała wokół siebie niemalże wszystkie wielkie talenty tamtej epoki. Jej wpływ na artystów ery impresjonizmu — jak wynika z książki Ewy K. Kossak — nie pozostawia żadnych wątpliwości. Malowali ją m.in.

JOHN UPDIKE: MUZEA I KOBIETY. PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY. WARSZAWA 1978 r., s. 217, zł 45.

Zbiór opowiadań jednego z najwybitniejszych i najpopularniejszych współczesnych pisarzy amerykańskich zawiera 28 utworów. Część z nich połączona jest w dwa cykle: stylizowany i tematyczny, część zaś to utwory istniejące samodzielnie. Do tej pory w Polsce ukazały się 4 książki tego autora, wszystkie spotykały się z żywym przyjęciem. Ale chyba ten kolejny tom opowiadań Updike'a jest najbardziej interesujący. Cykl pt. „W innej tonacji” to surrealistyczne opowiadania ujęte w formę parabol, „Państwo Maple” zaś to realistyczny obraz miesz-

AKOS KERTESZ: MAKRA, CZYLI CENA PRZEGRA-NEJ. PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 1978 r., s. 233, zł 45, wydanie II.

Ten popularny węgierski autor, znany u nas przede wszystkim ze sztuki „Wdowy” (spektakl w Białostockim Teatrze im. A. Węgierki oraz w Teatrze TV), napisał tym razem powieść o człowieku nie przystosowanym do życia w swoim środowisku. Jego moralność, nieskazitelna uczciwość narazem są na negację ze strony otoczenia, które nie potrafi zrozumieć jego sposobu postępowania. Finał — jak się można domyślić — jest dla bohatera tragiczny.

HENRYK PANAS: POWRÓT Z KRAINY TZEMIL. WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE. ŁÓDŹ 1978 r., s. 245, zł 25.

Po książkach przeznaczonych dla młodzieży oślszyński autor, Henryk Panas, laureat nagrody tygodnika „Kultura” za książkę „Wielki Judasz” — napisał kolejną powieść, która powinna spotkać się z uznaniem czytelników. Jest to historia człowieka, który w osamotnieniu przeżywa trzeci zawał serca. Lęk spowodowany chorobą, która w każdej chwili grozi śmiercią wywołuje wspomnienia, przywołuje znane sytuacje i postaci. Narracja utrzymana w formie pamiętnika

notującego owe godzinny choroby jest szeregiem klamr spinających wspomnienia: sytuacje w pracy, kobiety, drobne świństwa, przyjemności i troski. Dzięki zastosowaniu różnych elementów narracji (pamiętnik, opowiadanie w trzeciej osobie, fragmenty utworów Pawła itp.) „Powrót z krainy Tzemil”, bogaty formalnie, czyta się doskonale. Nad tym wszystkim góruje jednak mądra zaduma nad losem człowieka i rolą przypadku w życiu.

J.G.

Rodzica się od dłuższego czasu, a konkretnie sformułowana przed kilkunastu laty idea utworzenia Muzeum Wisły poczynając wkraczać w stadium realizacji. Prawdopodobnym jest, że pierwsze akty materialne dokonane zostaną jeszcze w tym roku, a z pewnością nie później niż w przyszłym. Nowym stymulatorem działań w tym kierunku stało się podjęcie przez najwyższe władze decyzji o kompleksowym zagospodarowaniu Wisły. Oznacza to, że za kilkanaście lat obraz królowej polskich rzek zmieni się tak znacznie, iż dzisiejszy można będzie zachować jedynie za pomocą eksponatów muzealnych.

Nie jest to przesłanka jedyna. Inne powstały już wcześniej, a spośród nich znaczenie najbardziej zasadnicze ma zgromadzenie w Centralnym Muzeum Morskim w Gdańsku sporej kolekcji archiwaliów i innych materiałów historycznych, wystarczającej dla zapoczątkowania działalności nowego muzeum. CMM, które część z nich prezentowało przed kilkunastu laty na wystawie „Sztuka w dawnych wiekach”, nie tylko nie zamierza chronić ich zaszłości, ale z własnej inicjatywy chce matkować nowej placówce. Od czasu tamtej wystawy, wisłańska kolekcja znacznie się powiększyła, a CMM włącza do niej także swych najcenniejszych zbiorów, a mianowicie towary wy-

ślany i nadwiślański folklor oraz stosownych dzieł sztuki. Odpowiednio zobrażone też będzie środowisko geograficzne i przyrodnicze.

Część druga tworzyłby usytuowany nad brzegiem rzeki skansen oryginalnych łodzi wiślanych, zaś przy brzegu twórcy koncepcji widzą zakotwiczony bocznokołowiec, jeden z ostatnich zachowanych tego typu statków. Kursujące jeszcze z wycieczkami po Wiśle bocznokołowce, pochodzące z przełomu XIX i XX wieku, dożywały w tej chwili dosłownie swoich ostatnich dni i jeśli chociaż jednego z nich nie uratuje się dla celów muzealnych — a są bezspornie tego warte — za 2-3 lata może być za późno.

MUZEUM WISŁY

dozbyte ze słynnego wraku „Miedziowca”. Były one wszak kiedyś typowe dla spławu wiślanego.

Pytanie o siedzibę Muzeum Wisły jest nieco kłopotliwe z przyczyny nietypowej w takiej sytuacji: z powodu nadmiaru propozycji. Z ok. 10 miast, które stanęły do wstępnych eliminacji, do finałowej rozgrywki zakwalifikowały się trzy — Kazimierz, Włocławek i Tczew. Kazimierz oferuje dwa zabytkowe spichlerze, Włocławek — pałac Kronenberga, Tczew — 19-wieczny budynek pofabryczny. Dodatkowym atutem Włocławka jest nader energiczne zaangażowanie władz terenowych, zaś Kazimierza i Tczewa — lepsza, bo przybrzeżna lokalizacja oferowanych obiektów. Jest to nie bez znaczenia, zwłaszcza wobec nader przekonującej koncepcji urządzenia muzeum opracowanej już w CMM.

Według tej koncepcji Muzeum Wisły składać się ma z trzech części. Pierwszą tworzyłaby klasyczna ekspozycja muzealna, będąca wzbogaconą wersją wspomnianą wystawę, a złożona m.in. z modeli statków i łodzi wiślanych, narzędzi rybackich i flisackich, towarów wydobytych z „Miedziowca”, dokumentów przedmiotów obrazujących wi-

Trzecią częścią muzeum ma być kino. Jego filmoteka byłaby nastawiona głównie na gromadzenie materiałów dokumentujących przeobrażenia, jakim ulegnie Wisła w trakcie realizacji wielkiego programu jej zagospodarowania. Filmy takie będą niewątpliwie powstawały choćby jako bieżące materiały reportażowe Telewizji czy Kroniki Filmowej, ale już dzisiaj warto zadbać o to, by za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt powstała i została odpowiednio zgromadzona na użytek przyszłych pokoleń, możliwie pełna dokumentacja filmowa wielkiego, narodowego dzieła.

Przedstawiony tu zarys koncepcji nie wyczerpuje oczywiście ani nie przesadza pełnego kształtu Muzeum Wisły. Z pewnością uwypuklenia wymagają związki królowej polskich rzek z narodową historią i kulturą. Warto więc pokazać i legendy, i ważne wydarzenia, którym Wisła świadkowała. Warto podkreślić wiślane inspiracje w literaturze, sztuce, muzyce. Tym, którzy Muzeum Wisły odwiedzą, da ono z pewnością okazję do wyrażenia niejednej nauki i doznania niejednej refleksji.

PRZEMYSŁAW KUCIEWICZ

„CONSONANS”

Jesienią 1977 r. przy Miejskim Domu Kultury w Augustowie powstał młodzieżowy zespół artystyczny „Consonans”, składający się głównie z uczennic Liceum Ogólnokształcącego. Kierownikiem i aranżerem jest Stanisław Łukomski.

W krótkim czasie zespół zdobył dużą popularność, cieszy się uznaniem i sympatią mieszkańców Augustowa. Często uczestniczy w różnego rodzaju imprezach. Występował już w Giżycku i Suwałkach. Jest także laureatem wojewódzkiego Konkursu Piosenki Radzieckiej, „Musycoramu” — Giżycko 1978” i konkursu piosenki młodzieżowej w Gdańsku.

Trzon zespołu stanowią soliści: Stanisław Gietek, który na próby dojeżdża z odległości około 20 km i Mirosław Jodczyk oraz grupa wokalna — Barbara Zukowska, Marzena Malinowska i Agnieszka Kniatiewicz. Latem „Consonans” wyjadzie na gościnny występ do Litewskiego SRR. Jedynym kłopotem zespołu jest słabej mocy i niskiej klasy aparatura nagłośniowa.

(W-W)



NA ZDJĘCIU: fotografik w swojej pracowni. CAF—Sokolowski

Archeologia — nauka nie znana

Obecnie na zlecenie i pod nadzorem wojewódzkiego konserwatora archeologicznego — Danuty Lempkowej oraz bezpośrednio przez dział archeologiczny Muzeum Okręgowego w Łomży, kierowany przez Jolantę Deptułę, trwają prace na ok. 20 stanowiskach. W ubr. podjęto na przykład badania osad przy grodziskach w Małym Płocku i Pięnkach Grodziskich. W Miastku wie przekopuje się cmentarzysko z okresu wpływów rzymskich (II i III w. naszej ery). Prace badawcze obejmują także Grady Wonięckie, gdzie odkryto osadnictwo z IX tysiąclecia p.n.e. oraz Wozną Wieś (osadnictwo schyłkowo — paleolityczne, po epokę wczesnego brązu). Archeolodzy przymerają się do robót odkrywkowych na Górze Bony w Starej Łomży.

W skromnym wymiarze efekty tych badań zaprezentowała niewielka wystawa w hallu Muzeum Okręgowego w

Łomży, towarzysząca niedawnej VIII międzynarodowej sesji studentów archeologii zorganizowana z okazji 60-lecia powstania katedry archeologii przedhistorycznej Uniwersytetu Warszawskiego (obecnie Instytut Archeologii), sesja poświęcona została eksploracji i technologii obróbki surowców mineralnych w pradziejach. Referaty naukowe, oparte na literaturze ale także i na wynikach prowadzonych badań odkrywkowych przygotowali studenci z Brna, Halle, Berlina, Sofii, Kiemierowa (ZSRR), Lublina, Poznania, Krakowa, Wrocławia i Warszawy.

O zlokalizowaniu sesji w Łomży zdecydowała inicjatywa Towarzystwa Naukowego im. Wągów oraz związki koła naukowego studentów archeologii UW z Ziemią Łomżyńską.

Sesja miała — poza referatami omawiającymi w historycznym ujęciu pradzieje Ziemi Łomżyńskiej — ściśle naukowy charakter. Dlatego też sala w Zespole Szkół Budowlanych, w której się odbywała, świeciła pustkami.

Archeologia, mimo że na ekranie telewizyjnym i w prasie staje się modną, jest nauką nieznaną szerokiemu społeczeństwu. Specjalistyczny język i konieczność posiadania wiedzy z wielu dziedzin nauki nie sprzyja jej popularności. Poprzedzającmy z reguły na oglądaniu eksponatów, nie wnioskując głębiej w problemy ich poszukiwania. Wydaje się, że w Łomży była okazja do bliższego zetknięcia się z problemami archeologii, przynajmniej członków szkolnych kół historycznych.

J. BRODZIUK

„Lot nad kukułczym gniazdem”



W krakowskim Teatrze Starym odbyła się niedawno premiera znakomitej sztuki Dale Wassermana „Lot nad kukułczym gniazdem”. Choćby wykreślony przez Krzysztofa Zanussi spektakl mógł obchodzić do tej pory niewiele tylko osób, już teraz można przeczytać i usłyszeć pełne recenzje. Nic w tym dziwnego, wzięwszy pod uwagę nazwisko reżysera i fakt, że w przedstawieniu rolę główną grają tak znani i cenieni aktorzy jak Jan Nowicki i Teresa Budzisz-Krzyżanowska.



NA ZDJĘCIU: scena ze spektaklu. CAF—Sochor

W opublikowanym dwa tygodnie temu na łamach „G.W.” artykule „Drukowane w Supraślu” Eugeniusz Jaruzelski wspomina m. in. o dwóch wydaniach „Pieśni nabożnych”. Franciszka Karpińskiego, „jakie się” tu ukazały w roku 1792. To zainteresowanie utwarami „poety serca” autor artykułu skłonił jest przypisywać wrażliwości ówczesnych czytelników na poezję. Mnie się zaś wydaje, iż o wiele większą rolę odegrała wrażliwość supraślskich mniichów na dźwięk nazwiska Radziwiłła. Tak się bowiem składa, że w tym czasie, gdy w Supraślu wydawano „Pieśni nabożne...”, autor ich w pobliskim Zabłudowie piastował godność wychowawcy Dominika Radziwiłła, nieletniego księcia na Olyce i Nieświeżu.

Związek Karpińskiego z Podlasiem sięgają zresztą sporo lat wstecz. Poeta, szukając protektora, który zapewniłby mu byt godny jego talentu, napotkał na swej drodze Izabellę z Poniatowskich Braniczką secundo voto Mokronowską, występującą pod przybranym nazwiskiem „Pani Krakowskiej”. Była to jedna z czterech słynnych Elżbiet, które omotał Stanisław August, a tak dla niego fatalnego pamfletu. Sparczywszy się z Elżbietą wdową Izabellą Braniczką dmuchała na zimne, mimo to musiała przyjmować nadal poetów, bo tego wymagała moda. Ponadto Karpińskiego trudno byłoby nie przyjąć. Należał do tych poetów,

„Kogo bogowie nienawidzą...”

którzy gotowi byli wlażyć oknem, jeśli usłyszeli najcichszy dźwięk złota. W jego pamiętniku nie ma wzmianki o „mekach twórczych”, pełno w nich natomiast utyskiwań na niedostateczną hojność mecenasów.

„Pani Krakowska” wyjeżdżając na 3 letnie miesiące (jak zwyciężynie robiła) do Białego Stoku i mnie prosiła, ażeby tam za nią pojechał. Przyjeżdżył byłem w ten jej miesiąc z grzesznością od niej największą, że nawet to w oczy drugich uderzyło, ale ja sobie pomyślałem, iż chleba potrzebuję nie honorów, a ja panie chociaż mi nie wysławiła, i tylko mnie nadzieję zawsze uwodziła, puszczania mi dóbr Orli koto Białego Stoku, żeż uwiedziony 4 roku na letnie miesiące przyjeżdżał, dla barwienia jej do Białego Stoku, wszelako za jej grzesznością największą dla mnie wdzięczny byłem i najwięcej za to, że mnie odwiodła od poślubienia jednej wdowy, z którą zapewne byłbym najnieśczęśliwszym, i do której już wyjeżdżałem dla koźczenia z Białego Stoku, a tu pani gwałtem mnie powstrzymała, kazawszy konie i pojazd mój pozamykać.”

Jak widać w pamiętnikach, daleko pocie do klarowności i zwieglności, ale to jedno każdy z nich wyyczyta, iż się srodze zawiodł na Braniczkę. Jedyny zysk, jaki miał dzięki niej — a i to pośrednio — wynikał z wydzierżawienia majątku Suchadolina, w czym pośredniczył bawiający w Białymstoku Marcin Badien, szambelan królewski.

Mniej więcej w tym samym czasie nadarzyła się też pocie sposobność wykazania się kunsztem pedagogicznym, do czego jak zwykle skłusła go perspektywa zdobycia sporego — jak na jego stan — majątku.

„Placa roczna przez opiekuna mi naznaczona była tysiąc dukatów, a matka małoletniego potem obiecała przyczynić 500 dukatów corocznie, prócz tego po wyjściu z opieki, podług prawa litewskiego, za lat 10, miał mi być dany dożywocie folwark jakiś ordynacki.”

Karpiński szybko doświadczył, iż „Kogo bogowie nienawidzą, tego dozorczą małoletnich zrobił” — które to zdanie pochodzi zresztą z jego pamiętników. Objął funkcję opiekuna w roku 1791, wytrwał na tym stanowisku przez ponad rok, ale w 1793 już w swych pamiętnikach pisze o wyjeździe do Zabłudowa. Przy okazji czyni wiele trafnych, choć niezwykle gorzkich uwag pod adresem możnych tego świata.

I ma rację, choć jak zwykle nie całkiem. Bo gąby w 1792 roku nie był opiekunem księcia na Nieświeżu i Olyce, ojaszkowicie z Supraśla nie pokwapiliby się nie tylko z dwukrotnym, ale i jednorazowym wydaniem „Pieśni nabożnych...”

R. KRAŚKO

Świat w obiektywie

Niedawno w warszawskiej Zachęcie czynna była kolejna, niezwykle interesująca wystawa jego prac pt. „W moim świecie”.

Czarno-biały świat Hartwiga wciąga odbiorcę, fascynuje. Napisała niedgdy Kira Galczyńska o jego twórczości — „Wszystkie artystyczne poszukiwania, odkrycia, zamyka Hartwig w jednym wielkim temacie. Jest nim człowiek, jego zmagania z życiem, osobiste, pełne poczucia komentowanie świata, zachwyty dla pejzażu, ulotności chwili, które z takim mistrzostwem potrafi uchwycić”.

Artysta powiedział o swojej drodze do fotografii: Zaczęło się zwykłą niechęcią. Po-

chodzi z rodziny fotografików, miałem więc z fotografią do czynienia na co dzień, i stąd wziął się pewien przesyt. W pewnym momencie musiałem jednak zająć się nią zarobkowo. Gruntowny przełom nastąpił w moich zainteresowaniach po studiach fotograficznych w Wiedniu.

Jaką rolę odgrywa ona obecnie?

Przed wojną ta dziedzina nie miała zbyt wielkich możliwości. Obecnie możemy mówić o jej wielkim rozkwicie. Odgrywa ważną rolę w naszej kulturze. Stała się nawet pełnoprawną dziedziną sztuki, cho-

ciaż z pewnością jest łatwiejsza niż inne jak np. muzyka czy plastyka. Jaka tematyka interesuje Pana najbardziej?

Niemal każda. Jednak przede wszystkim interesuje mnie człowiek. Innym znaczącym w moich fotografiach motywem jest pejzaż. Kiedyś, dzięki utrwalonemu w fotografii krajobrazom we mgłę zyskałem miano „mglarza”. Myślę, że język mojej fotografii jest tak bogaty jak mowa polska. Nie lubię trzymać się jednego tematu. Odczuwam potrzebę zmiany środowiska i miejsca. Wiąże się to z poznawaniem kraju. Polska jest piękna, a jej przyroda na szczęście nie jest jeszcze całkowicie ujarzmiona.

